

POZNAŃSKIE KOZIOŁKI

Tego dnia panował w Poznaniu wielki ruch. Nie było jakich gości oczekiwano. Sam pan wojewoda zapowiedział, że przyjdzie osobiście zobaczyć działo mistrza Bartłomieja – piękny zegar, który już wczoraj umieszczono na ratuszowej wieży. Wielka złocista tarcza jaśniała jak słońce, a kunsztownie rzeźbione wskazówki widać było z daleka. Osobny mechanizm wskazywał miesiące i zmiany księżyca.

Mieszczanie zadzierali głowy i dziwowali się, że wszystko zostało tak pięknie pomyślane.

- *Teraz i pan burmistrz, i prosta przepukła będą wiedzieli, która godzina* – mówili.

Z okazji zamontowania zegara szykowało się w mieście wielki festyn. Piekarze zwijali się jak mogli, piekąc całe stopy rumianych bułek, cukiernicy ozdabiali smakowite torty lukrowymi kwiatami, a najlepszy kucharz w mieście, imię pan Gąska, szykowało swój popisowy specjał – sarnią pieczeń. Właśnie polewał tłuszczem zrumieniony już dobrze udziec, gdy od strony rynku dały się słyszeć turkot karet i powitalne okrzyki.

- *Rzucę tylko okiem* – pomyślał mistrz i wciskając rożen w ręce kuchcika, wskoczył przed dom, by przyjrzeć się orszakowi. Nie co dzień przyjeżdżają tacy goście.

Oczywiście kuchcik też chciał coś zobaczyć. Na próżno jednak stawał na palcach i wyciągał szyję. Okno było za wysoko.

- *Gdybym tak stanął w drzwiach, miałbym doskonały widok, a i na rożen mógłbym spoglądać* – kombinował.

Gdy usłyszał dobiegające z podwórza wiwaty, zaczął działać. Prędko zostawił rożen, wybiegł za drzwi i ... zamarł z wrażenia. Bogate powozy akurat zatrzymały się przed ratuszem i wysiedli z nich pięknie ubrani panowie. Sam burmistrz wyszedł im na spotkanie. Było na co popatrzeć. W pewnej chwili chłopak pociągnął nosem – coś jakby spalenizna...

- *O matko! Sarnina!*

Skoczył biedak ku palenisku, ale zamiast złapać rożen – potrafił go tak nieszczęśliwie, że cała pieczeń wylądowała w ogniu.

Na ten właśnie moment wrócił do kuchni mistrz Gąska.

- *Coś ty zrobił?! – zakrzyknął wielkim głosem, patrząc ze zgrozą w palenisko.*

- *Nie gniewajcie się* – bąkał ze łzami w oczach kuchcik – *ja to wszystko naprawię. Do uczyty na ratuszu jeszcze sporo czasu. Zrobimy następną pieczeń, jeszcze lepszą od tej.*

- *Chyba nie ma innego wyjścia* – jęknął nieszczęśliwy kucharz i wcisnąwszy chłopcu w rękę dukata kazał mu biec co tchu do kramów po mięso.

Niestety, zarówno mistrz, jak i jego uczeń zapomnieli o festynie na rynku. Bawili się na nim wszyscy, nie wyłączając rzeźników.

- *Przecież nie wrócę z pustymi rękami* – wpadł w rozpacz kuchcik.

Nagle jego wzrok padł na dwa młode koziołki pasące się w ogródku przed czyjś domem. Nie namyślając się ani chwili odwiązał je od palika i pognął przed sobą. Jakiś niewieści głos rozkrzyczał się za nim, ale chłopak nie zważał już na nic.

- *A, jesteście nareszcie!* – ucieszył się na jego widok mistrz Gąska. – *A cóż to przywiódt?* – złapał się za głowę. – *Ha, trudno* – mruknął wreszcie, sięgając po nóż – *niechże koza udaje sarnę.*

Capki poczuły widać, co się święci, bo jak na komendę skoczyły ku otwartym drzwiom. Rzucił się za nimi kuchcik Piotrek, a za Piotrkim mistrz Gąska. Koziołki zmykały co sił, ale i kuchcik nie oszczędzał nóg. One na schody, on za nimi, one na wieżę – pogoń tuż-tuż. Już miał je chwycić, gdy nieoczekiwanie sforsowały okienko i jednym skokiem znalazły się na wąskim gzymsie tuż nad zegarem mistrza Bartłomieja.

Właśnie dostojni goście wkraczali w progi ratusza, gdy zabiegła im drogę uboga wdowa.

- *Sprawiedliwości, szlachetni panowie* – jęczała. – *Ograbiono mnie w biały dzień. Kuchcik uprowadził moje kózki, pewnie już nie żyją* – i kobieta zalała się łzami.

- *No, no, ładne tu u was porządki* – zagrzmiął wojewoda, a burmistrz spłonął rumieńcem wstydu.

Nagle gdzieś z wysoka rozległo się beztróskie beczenie. Ludzie zadarli głowy. Wysoko na ratuszowej wieży harcowały sobie w najlepsze, podskakując i bodąc się rogami, dwa białe koziołki.

Takiego widowiska dawno w Poznaniu nie było. Nawet wojewoda, który już się sposobił do sprawowania sądu, nie mógł utrzymać urzędowej powagi.

Zaraz też przypadł mu do nóg Piotrek.

- *To moja wina, miłoścywio panie* – wyrzucił z siebie jednym tchem. – *Mistrz Gąska kazał przynieść mięso na pieczeń dla gości, a tu wszystkie kramy zamknięte...*

- *Czemu zamknięte?*

- *Bo festyn.*

- *Toście nie mogli wcześniej kupować?*

- *Kupiliśmy, ale...* - tu kuchcik zaczerwienił się po same uszy, rzucając rozpaczliwe spojrzenie na swego pracodawcę.

- *Ale się nazbyt... zrumieniło* – dokończył przytomnie mistrz Gąska.

- *Wolę ja już nie próbować tej waszej pieczeni i nie sprawować sądów...* - zdecydował wojewoda. – *Oddajcie, co nie wasze, i o przebaczenie proście.*

Łatwiej nakazać niż wykonać. Piotrek mało karku sobie nie skręcił, ściągając z wieży rozbrykane koziołki.

Ale było widowisko! Przyproawdzone do właścicielki koziołki powitano brawami. Pocziwa wdowa tak się uradowała, że przebaczyła Piotrkowi całą tę awanturę, zaś mistrz Bartłomiej na pamiątkę tego wydarzenia dorobił się do swego zegara nowy mechanizm. Odtąd po każdej wydzwonionej godzinie z okienka wybiegają dwa małe koziołki i bodą się rogami ku uciesze mieszkańców miasta a także przybywających do Poznania gości.